

Maciej T. Nowak

# OPERACJA „LAWINA”

Dzieje przemilczanej zbrodni UB



OPOLE  
Wydawnictwo NOWIK Sp.j.  
2012

## WSTĘP

- To jedno z największych osiągnięć aparatu bezpieczeństwa. Ta zbrodnia pokazuje prawdziwe oblicze rodzącej się władzy ludowej - powiedział o operacji „Lawina” Janusz Krupski, kierownik Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, gdy we wrześniu 2008 roku stał pod krzyżem na polanie w baruckim lesie.

Co najmniej 158 osób (to liczba ustalona przez IPN), partyzantów Narodowych Sił Zbrojnych z Podbeskidzia, we wrześniu 1946 roku, wsiadło na ciężarówkę. Z przekonaniem, że jadą rozpocząć nowe życie, wyruszyli w kierunku Opolszczyzny. To miał być ich przystanek w drodze na Zachód. Pierwszy postój okazał się także ostatnim. Dokładna liczba zamordowanych przez UB jest trudna do ustalenia ze względu na konspiracyjny charakter zgrupowania Henryka Flamego, ps. „Bartek”.

Operacja „Lawina” była jedną z największych pod względem liczby ofiar prowokacji UB, eksterminacją bez jakiegokolwiek postępowania sądowego. Z punktu widzenia władz, było to rozwiązanie szybkie i ostateczne. Ale dla rodzin był to trudny do opisanego niepokój, dziesięć lat bez wiedzy o tym, co się stało z ich najbliższymi. Żyli w przekonaniu, że ich ojcowie, bracia, synowie dotarli na Zachód, urządzili się i piszą listy, ale te przechwytyuje UB i dlatego nie docierają do adresatów.

Niniejsza książka jest próbą rekonstrukcji zdarzeń, opartą na dostępnych materiałach, zaprotokołowanych zeznaniach i rozmowach z żyjącymi jeszcze świadkami tamtych wydarzeń. Pokazuje nie tyle historię całego oddziału „Bartka”, co losy poszczególnych osób. Owa rekonstrukcja nie jest pozbawiona luk. Nie da się ich zapełnić z powodu braku dokumentów i niepamięci świadków zdarzeń, co nie powinno dziwić, gdyż minęło już ponad 66 lat od tamtych wydarzeń.

Prokurator Piotr Nalepa z katowickiego IPN wyliczył, że wyjechać mogło nawet sześć transportów. Pierwszy wyruszył na Zachód drugiego, a ostatni 26 września 1946 roku. Wszystkie dowody zgromadzone w śledztwie wskazują na to, że ziemie województwa opolskiego kryją masowe groby. Wszystkich jadących na ciężarówkach spotkał taki sam los, ale żadnej z mogił do dzisiaj nie udało się odnaleźć. Chyba jest to już niemożliwe...

Władysław Foksa, jeden z partyzantów „Bartka”, wierzy nadal, że groby jego towarzyszy broni uda się zlokalizować. Jednak wcześniej muszą zostać udostępnione rosyjskie archiwa.

– Ówczesna władza postarała się o to, by dokumenty albo zniszczyć, albo zabezpieczyć w taki sposób, by długo nie ujrzały światła dziennego. Mogą być w rosyjskich archiwach, gdyż cała akcja kierowana była z Moskwy. Powiedzmy sobie szczerze, że polska władza nie była wówczas jeszcze do takich rzeczy przygotowana – mówi.

Być może Władysław Foksa ma rację. W polskich archiwach udało się odnaleźć dokumentację – raporty kapitana „Lawiny” – gdzie mowa o tym, w jaki sposób przeniknął on do zgrupowania „Bartka”. Nie natrafiono natomiast na żadne papiery pokazujące, jak przeprowadzono akcję, gdzie dokonano egzekucji, w którym miejscu zakopano szczątki. Nie ma też informacji, kto wydawał rozkazy i kto bezpośrednio uczestniczył w działaniach. Są jedynie strzępki informacji, poszlaki, na podstawie których można próbować zrekonstruować wydarzenia z 1946 roku.

Czy taka dokumentacja w ogóle powstała? Prokurator Nalepa uważa, że tak. UB był instytucją dość mocno zbiurokratyzowaną i nic nie mogło się odbyć bez stosownego zapisu. Pewnie był to raport w zaledwie dwóch, trzech egzemplarzach. Trafił na biurka najważniejszych osób w państwie. Później jego krótki żywot zakończył się gdzieś w kominku kogoś z wysoko postawionych funkcjonariuszy. Wraz z nim spłonęła prawda o operacji „Lawina” i o losie 158 partyzantów NSZ.

Najwięcej o tym, jak mogła przebiegać likwidacja partyzantów z Podbeskidzia, wiemy z zeznań Jana Zielińskiego. Nie ma jednak żadnych materiałów, które pozwoliłyby zweryfikować to, co opowiedział były funkcjonariusz UB. Są jedynie poszlaki, które pozwalają częściowo uwiarygodnić to, co mówił.

Zbierając materiał do książki, kilka razy natknąłem się na zaskakujące, niezbyt chętnie opowiadane historie. Świadkowie zdarzeń

półgębkiem wspominali o tym, że gdzieś pojawił się mały fiat, z którego wysiadł jakiś człowiek i przestrzegał ich przed rozmawianiem o akcji „Lawina”, „Bartku” i baruckim Hubertusie. Mówił, że lepiej będzie milczeć... Co zaskakujące, te opowieści nie pochodzą gdzieś z czasów PRL-u, ale z ostatnich lat, właśnie tych lat, kiedy toczyło się już śledztwo prowadzone przez katowicki IPN. Duch służb specjalnych Polski Ludowej chyba cały czas czuwa nad sprawą... To mogłoby wyjaśnić, dlaczego niektórzy nie chcą mówić tego, co wiedzą. Mimo upływu ponad 66 lat – nadal się boją.

*Maciej T. Nowak*

## R o z d z i a ł I

### ROZKAZ: WYJECHAĆ!

#### Pożegnanie

- Nie płacz, siostra, za mną. Będzie ci lepiej, jak dotrę do Londynu - powiedział we wrześniu 1946 roku Karol Talik, ps. „Ryś”.

Wtedy Beata Talik widziała go ostatni raz. „Ryś” był partyzantem. Walczył u boku Henryka Flamego, ps. „Bartek”. Grupa „Bartka” była najliczniejsza na Podbeskidziu i mocno dawała się we znaki tym, którzy po wojnie wprowadzali w Polsce nowy ustroj - komunizm. Byli najbardziej aktywną zbrojną formacją antykomunistyczną na Śląsku Cieszyńskim i Żywiecczyźnie.

Mniej więcej w tych samych dniach Józef Marek, który też - jak wówczas mówiono - „był w lesie”, przysłał swoim rodzicom skrawek papieru. Pisał: „Przyjdźcie się pożegnać. Wyjeżdżam na Zachód”. Józef miał wtedy 19 lat. Także nie akceptował nowej władzy. Od kilku miesięcy również był pod komendą „Bartka”.

Urząd Bezpieczeństwa, Milicja Obywatelska oraz żołnierze z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego początkowo nieporadnie, ale z czasem coraz mocniej naciskali partyzantów. Ci mieli dwa wyjścia: zostać i dać się złapać siłom bezpieczeństwa albo wyjechać jak najdalej. Wybrali drugi wariant.

Jakub Marek pomagał swojemu starszemu o trzy lata bratu - Józefowi. Sam nie należał do partyzantów. Nigdy nie był w ich obozie, który mieścił się na zboczach Baraniej Góry, jednego ze szczytów Beskidu Śląskiego. Trafic do obozu nie było łatwo nawet miejscowym, którzy po górach poruszali się jak po własnym podwórku. Jakub przynosił bratu chleb. Zostawiał go w umówionym miejscu, pod bukami.

- Co miało oznaczać słowo „Zachód”, brat dokładnie mi nie powiedział. Domyślałem się, że chodziło o Europę Zachodnią – wspomina Jakub Marek. – Rodzice poszli do lasu na Salmopolu. Pobiegłem za nimi, chociaż kazali mi zostać w domu.

Żegnając się, Józef mówił wtedy, że nie jedzie sam. Razem z nim w drogę wyruszają inni „leśni ludzie”. Wsiądą do ciężarówek, które pod osłoną nocy przerzucą ich na Ziemię Odzyskane. Stamtąd bliżej będzie już do Europy Zachodniej.

Matka błagała Józefa, by został. – Ujawnij się! Odsiedzisz kilka lat i wyjdiesz. Ale potem będę cię miała przy sobie, a nie gdzieś na końcu kontynentu – prosiła. Chłopak nie dał się przekonać. Pojechał. Nigdy więcej już się nie odezwał.

Gdy państwo Markowie rozstawali się w lasu z Józefem, rodziny innych partyzantów także żegnały swoich bliskich. Brat Marii Byrdy ze Szczyrku – Jan – też walczył w partyzantce. I on również wyjeżdżał na Zachód. Maria miała wtedy dziewięć lat, był od niej dziesięć lat starszy. Byli przyrodnim rodzeństwem, ale to nie miało znaczenia. Kochali się jak swoi. Maria pamięta, że nie było podziałów na „mój – nie mój”.

Pamięta też ten ostatni raz, gdy widziała starszego brata. W środku nocy obudziły ją jakieś szmery. Spała w sieni, bo było wtedy gorąco. Udawała, że drzemie, ale ukradkiem otworzyła oczy. Zobaczyła Janka stojącego w pokoju. Był w wojskowym mundurze. Wyglądał dostojnie. Przeczuwała, że nie jest to kolejna nocna wizyta brata, tylko wyjątkowa chwila. Janek żegnał się z rodzicami. Ci mieli łyzy w oczach. Chłopak wziął bochenek chleba i wyszedł. Wtedy widziała go ostatni raz.

- Już nigdy się nie pojawił w domu – wspomina.



**Fot. 1.** Maria Byrda ze Szczyrku do dzisiaj mieszka w domu, w którym po raz ostatni – we wrześniu 1946 roku – widziała swojego brata Jana.

Sprawa wyjazdu Jana w domu Byrdych była traktowana jako tajemnica. Rodzice między sobą rozmawiali o niej, ale nigdy nie opowiadali Marysi, dlaczego jej ukochany brat wyjechał, dokąd się udał, i czemu się nie odzywa. Gdy za nim tęskniła, patrzyła na zdjęcie. Był w tym samym mundurze, w którym widziała go tamtej wrześnieowej nocy, z karabinem w rękę. Obok stali koledzy, z którymi później wyjechał. Też młodzi i też w mundurach, wszyscy z bronią w rękach.

Podobne historie może dzisiaj opowiedzieć wiele rodzin z Ciśca, Milówki, Szczyrku czy Węgierskiej Górki. To miejscowości położone na obrzeżach Parku Krajobrazowego Beskidu Śląskiego. Na jego terenie leży Barania Góra licząca 1220 metrów wysokości n.p.m. Świerki porastające zbocza wtedy, zaraz po wojnie, dawały schronienie młodym chłopakom, którym „nie było po drodze” z nowym reżimem. Las stał się symbolem oporu, niemal jego synonimem. O zbuntowanych nie mówiono, że wstąpili do partyzantki, ale że „poszli do lasu”. Drzewa świetnie ukrywały partyzanckie bunkry i obozowiska. Można się było wtopić w zieleni, uciekając przed obławą sił bezpieczeństwa. Las dawał też szerokie możliwości nieskrępowanego kontaktowania się z łącznikami, którzy przynosili chleb i mówili, co słychać w wioskach. Ale las nie zapewniał komfortu. Zamiast bieżącej wody oferował górskie potoki. Pełną spiżarnię zastępowało runo leśne, a dach nad głową gałęzie, z których klecono szałas.

Partyzanci z oddziału „Bartka” pochodzili głównie ze wspomnianych powyżej wiosek. Co najmniej 158 młodych mężczyzn, pod osłoną ciepłych wrześnieowych nocy 1946 roku, wsiadło na ciężarówkę i wyruszyło na Ziemię Zachodnie. Rodziny miesiącami czekały na wiadomość. Ile w końcu mogła trwać podróż na Zachód? Podejrzewali, że może listy przychwytuje UB i dlatego nie docierają do adresatów.

– Ślad po nich zaginął. Nigdy nie dotarły do nas żadne wiadomości z Zachodu, że szczęśliwie tam dojechali i że ułożyli sobie życie – stwierdza Anna Szweda, ps. „Annuszka”, jedna z tych, którzy nie wyjechali.

## ...Nadchodzi „Lawina”

350 ludzi skoszarowanych w lasach wokół Baraniej Góry stanowiło poważną siłę. Byli dobrze zorganizowani, niezłe uzbrojeni i zdeterminowani. Wprowadzający w powojennej Polsce nowe porządki musieli się mieć na baczności. Wróg ukryty w leśnych obozowiskach był

nieuchwytny. Niszczenie partyzanckich bunkrów, przy postawie górali, którzy nie garnęli się do współpracy z nowymi władzami, nie było zadaniem prostym. Za współpracę z funkcjonariuszami nowego systemu groził wyrok wydany przez partyzancki sąd. Przykładów na to, że nie są to tylko papierowe werdykty, nie brakowało.

Z partyzantami „Bartka” działającymi pod sztandarem Narodowych Sił Zbrojnych, noszących na mundurach ryngrafy z Matką Boską, współpracowało około 100 łączników. Dojście do obozowiska, w którym stacjonował Henryk Flame, było praktycznie niewykonalne bez ich pomocy. Zasady konspiracji stawiały ostre wymogi. Większość łączników nie znała całej trasy, tylko poszczególne odcinki. Dlatego by dotrzeć do „Króla Podbeskidzia” – jak nazywano Flamego – trzeba było korzystać z pomocy nawet kilku wtajemniczonych przewodników.

W połowie ciepłego lipca 1946 roku do Jana Kwiczały, ps. „Emil”, jednego z bartkowych łączników, przyszedł Henryk Wendrowski. Nosił konspiracyjny pseudonim „Lawina”. Był wysłannikiem VII Okręgu NSZ w Gliwicach. „Bartek” już od dawna czekał na jakiś kontakt



**Fot. 2.** Romuald Czarnecki, ps. „Pikolo”, zginął podczas starcia z siłami bezpieczeństwa w Czechowicach Dziedzicach w lipcu 1946 roku.



z przełożonymi. Stracił go kilka miesięcy wcześniej po fali aresztowań, jaka przetoczyła się przez śląską komendę NSZ. Flame oczekiwał na rozkazy. Po nalotach UB dowództwo jakoś się pozbierało. Zaczynało znów aktywnie walczyć o odbicie Polski z rąk radzieckich najeźdźców. Musieli skontaktować się z „Bartkiem”.

„Lawina” chciał, by łącznik zaprowadził go do „Bartka”. Niósł pilne wiadomości dla dowódcy zgrupowania od „Majora Franka”, jednego z szefów gliwickiego okręgu NSZ. „Emil” znał „Franka” jeszcze z 1944 roku, kiedy to na Podbeskidziu zaczęły powstawać Narodowe Siły Zbrojne.

Jan Kwiczala najpierw zawiózł „Lawinę” samochodem z Gliwic do Dziedzic. Dalej jego żona zaprowadziła posłańca w umówione miejsce, do kolejnego łącznika grupy. Był nim student, przyjaciel Jana Przewoźnika, ps. „Ryś”, zastępca „Bartka”. Wspólnie dotarli do schroniska „Źródła Wisły” na Baraniej Górze. Stamtąd, o dziewiątej wieczorem, 7 sierpnia 1946 roku wyruszyli do obozowiska „Bartka”. Po drodze minęli szczyt Baraniej Góry. Prowadził góral doskonale znający wszystkie miejscowe szlaki. Delegację ochraniało siedmiu partyzantów. „Lawina” wspominał później, że droga do obozowiska była bardzo ciężka. Przedzierali się przez leśne gąszcze. Nie byłby w stanie pokonać jej samotnie, nawet za dnia. Przejść ją można było tylko z pomocą górala, który świetnie się orientował w leśnym labiryncie. Nawet po zmroku nie potrzebował wytyczonych szlaków.

Do „Bartka” dotarli w środku nocy. Zobaczyli kilka namiotów, w których ledwo jarzyły się światła naftowych lamp, wokół których krążyły ćmy. W największym z nich siedziało dowództwo. Weszli do środka. „Bartek” wylewnie przywitał się z „Emilem”, natomiast Henryka Wendrowskiego przyjął z wyraźną rezerwą. Swoim ludziom gościa przedstawił jako „kapitana Lawinę”.

„Bartek” był już po kilku głębszych. Staropolskim zwyczajem na powitanie zaproponował szklanę wódki. Wypity alkohol pewnie miał wpływ na swoistą eksplozję emocji. Flame zaczął rzucać skargi i pretensje, wszystkie te żale za pośrednictwem „Lawiny” kierował do szefostwa gliwickiego okręgu NSZ. Chodziło o to, że przez długi czas nie interesowali się nim i jego ludźmi. Pozostawili ich samych sobie.

– Jak byłem w nędzy, to nie miał mi kto pomóc. Teraz jak widzą, że mi się lepiej powodzi, to do mnie przychodzą – grzmiał Flame.

Zachowanie „Bartka” trochę zaskoczyło „Lawinę”. Zareagował równie ostro, tłumacząc, że przybył tu z rozkazami, a nie po to, by

wysłuchiwać żalów. Zdecydował, że z przekazaniem rozkazów poczeka do rana. Może dowódca będzie w bardziej sprzyjającym nastroju... Z pomocą obecnego w namiocie księdza „Majora” (ks. Rudolf Marszałek) udało się uspokoić „Bartka”. Później wspólnie zajęto się opróżnianiem butelek z wódką.

Następnego ranka, po śniadaniu, „Lawina” zakomunikował „Bartkowi”, że razem ze swoim żołnierzami będzie się musiał przenieść w okolice Jeleniej Góry, aż pod zachodnią granicę. Tam będzie prowadził robotę dywersyjną i akcje przeciwko Werwolfowi (niemiecka partyzantka walcząca na ziemiach wyzwolonych). Stamtąd łatwiej będzie się przedostać do Europy Zachodniej. „Bartek” miał szereg zastrzeżeń. Do pomysłu musiało go przekonać jednak słowo „rozkaz”, które padło z ust „Lawiny”.

- Gdyby rozkazu nie wykonał, „Bartkowi” groziłby sąd wojskowy i kara śmierci - opowiada po latach Aurelia Włoch, córka Stanisława, który występował pod partyzanckim pseudonimem „Lis”. Był dowódcą jednej z bojówek w zgrupowaniu.

Henryk Flame ostatecznie zgodził się na przerzuty swoich ludzi na Zachód. Zdawał sobie sprawę, że nie można góralom siłą nakazywać opuszczenia ukochanych terenów i przerzucać ich gdzieś w głąb kontynentu, tysiące kilometrów od ojcowizny.

- Ludzie ci są tak przywiązani do tego terenu, że żaden rozkaz ich stąd nie ruszy - uprzedził „Lawinę”.

To była najpoważniejsza z jego obaw i dlatego postanowił dać swoim ludziom wolną rękę. Kto chciał, mógł jechać. Kto nie chciał, mógł zostać.

Ustalili, że ci, którzy zdecydują się nie opuszczać Baraniej Góry, dostaną nowego dowódcę, będącego w kontakcie z „Lawiną” i pod jego ścisłą opieką. W rozmowie poruszono też kwestie finansowe. „Bartek” szacował, że na przerzut może się zgodzić 180 jego ludzi. Aby móc utrzymać taką rzeszę partyzantów na obcej ziemi, będzie potrzebował 500 tysięcy złotych miesięcznie. Za zapewnienie mu takiej kwoty ma być odpowiedzialne szefostwo Okręgu Zachód NSZ, na którego terenie będzie stacjonował.

Organizację transportu „Lawina” wziął na siebie. Prosił tylko „Bartka” o zawieszenie wszelkich akcji zbrojnych, do momentu wyjazdu, by dodatkowo nie drażnić sił bezpieczeństwa, już i tak wystarczająco wściekłych i coraz bardziej zdeterminowanych w pogoni za partyzantami. Obiecał dostarczyć amunicję, pieniądze i leki.

Umówili się na następne spotkanie - 20 sierpnia 1946 roku. Tego dnia na Baranią Górę miały przybyć wszystkie oddziały „Bartka”. On sam miał zaś przygotować dokładny plan przerzutów.

Partyzanci z uwagą słuchali rozkazów. Władysław Jodłowiec był tak skupiony na tym, co się działo, że na całe lata zapamiętał wygląd „Lawiny”: „Był wysoki, wyższy ode mnie o głowę, w cywilnym popielatym ubraniu, a za paskiem miał pistolet. Twarz miał całą podziurawioną, jak po ospie”.

Zanim „kpt. Lawina” opuścił obozowisko, podszedł do niego ksiądz Rudolf Marszałek, ps. „Major”. Poprosił o rozmowę na osobności. Odeszli na bok i wtedy duchowny opowiedział swoją historię. Dawniej był kapłanem w Wojsku Polskim, ale zdezerterował i uciekł za granicę, do Regensburga. Jego brat był akowcem, ale aresztowało go UB i zwerbowało jako agenta. Ksiądz został wysłany z zagranicy do kraju przez mjr. „Mikołaja” (mjr Mieczysław Osmólski vel Mikołaj Kozłowski stał na czele Ośrodka Dyspozycyjnego Organizacji Polskiej w Regensburgu). Miał wykonać specjalne zadanie: nawiązać kontakty z ośrodkami ruchu oporu oraz zbierać i przekazywać informacje wywiadowcze. W Warszawie miał się zgłosić w punkcie kontaktowym do „Wojciecha” (komendant warszawskiego okręgu NSZ) i podać hasło: „Czy pan kupi sadzę?”. Tam jednak dowiedział się, że hasło i zadanie są już nieaktualne. Była wsypa i władze siedzą. Czym prędzej ksiądz opuścił stolicę i pojechał do Bielska. Przez niedyskrecję jednego z partyzantów został jednak zdekonspirowany. W trosce o bezpieczeństwo musiał iść do lasu. Dotarł do „Bartka”.

„Lawinę” poruszyła historia duchownego. Obiecał pomóc. Zapowiedział, że nie tylko dostarczy fałszywe papiery, ale także zabierze go na przechowanie gdzieś na Śląsk. Zapewnił, że ułatwi dojazd do Warszawy i odszukanie stołecznej centrali NSZ. Stwierdził też, iż w połowie sierpnia przyśle po duchownego samochód. Ustalili, że ksiądz wróci do Regensburga, by załatwić jakieś pieniądze dla partyzantów. Umówili się, że skontaktują się po powrocie ks. Marszałka. Wyznaczyli dwie skrzynki kontaktowe: jedną w Siemianowicach, a drugą w Bytomiu.

„Lawinę” z Baraniej Góry sprowadził „Jasiek”, jeden z zastępców „Bartka”. Już po tygodniu do obozowiska dotarła obiecana paczka z lekarstwami.

20 sierpnia 1946 roku - zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami - Henryk Wendrowski w towarzystwie łącznika „Emila” wyruszył

o godzinie szóstej rano w kierunku Baraniej Góry. Dotarli do restauracji „Fajtula”, 6 kilometrów od Wisły. Czekala tam na nich właścicielka Aniela. Wzięli paczki z żywnością dla partyzantów i razem z kobietą poszli w góry, do kolejnego punktu kontaktowego. Po dwóch godzinach marszu natknęli się na patrol pod dowództwem „Jaśka” i „Wichury”. Godzinę później byli już w obozowisku. Oddział stał w szeregu. „Bartek” rozkazał: „Baczność! W prawo patrz!”.

Gościa powitano z należnymi mu honorami. „Lawina”, „Bartek” i inni dowódcy zgrupowania usiedli w namiocie. Dyskutowali przez dwie godziny. Rozmawiali o trudnej sytuacji politycznej NSZ, która wymagała zmiany taktyki działania. Ta miała się przejawiać przegrupowaniem sił, z czym wiązało się przerzucenie oddziału „Bartka” pod Jelenią Górę. Po spotkaniu „Lawina” wyruszył w drogę powrotną w towarzystwie „Sępa”. Zabrał z sobą księdza Marszałka. Duchowny najpierw zamieszkał u „Emila”. Tam jednak gospodyni wszczęła larm, gdyż Kwiczala jeszcze się nie zameldował. By nie pogarszać sytuacji, „Lawina” wziął księdza do siebie. Rozmawiali o sytuacji w oddziale „Bartka”, o tym, że dowódca traci autorytet wśród swoich żołnierzy. Wieczory spędzali na dyskusjach o polskiej emigracji. Jej sytuacja nie budziła wówczas optymizmu (w obozach pijaństwo, afery złodziejskie). Stosunek generałów Maczka i Andersa do oddziałów NSZ charakteryzował się dużą rezerwą. Z kolei mjr „Mikołaj”, kierując księdza do Polski, chciał przyjąć z pomocą NSZ, gdyż uważał partyzantów z ryngrafami na mundurach za „jedyną aktywną grupę” skierowaną przeciwko Bierutowi (Bolesławowi, ówczesnemu przewodniczącemu Krajowej Rady Narodowej, a od 1947 roku prezydentowi RP). Po 20 sierpnia ksiądz pociągiem wyjechał do Regensburga. Poprosił jeszcze „Lawinę” o przesłanie kilku tysięcy złotych jego rodzicom i siostrze.

- Później przyjeżdżał już do nas tylko „Korzeń” i wraz z „Bartkiem” ustalał terminy kolejnych transportów wyjeżdżających na Ziemie Zachodnie - wspomina Anna Szweda, ps. „Annuszka”.

„Korzeń” to inny przedstawiciel śląskiego okręgu NSZ. „Lawina” wyznaczył go do kontaktów z Henrykiem Flamem. Opracowano terminy przerzutów. Pierwszy transport miał wyjechać pierwszego września. Następne, po dwie ciężarówki w każdym, w odstępach dwudniowych, aż do 8 września.

Perspektywa przerzutu na Zachód poprawiła minorowe nastroje w grupie „Bartka”. Większość partyzantów cieszyła się z możliwości

przedostania się na nowe tereny. Wyjazdy poprzedziły drobiazgowo przygotowania. Dowódca poganiał swoich ludzi. Partyzantom, którzy musieli na ciężarówkach przejechać kilkaset kilometrów przez południową Polskę, trzeba było przygotować dokumenty na wypadek milicyjnej kontroli. Papierami zajął się sam „Lawina”. Rozwiesił w obozie białe płótno i na jego tle robił żołnierzom zdjęcia. Fotografował wszystkich partyzantów. Zdjęcia w dokumentach musiały być oryginalne, by nic nie wzbudziło podejrzeń funkcjonariuszy MO.

Wyjeżdżający mieli z sobą zabrać jedynie broń krótką. Reszta sprzętu miała pojechać innym autem. Do czasu wyjazdu dowódcy grup mieli ściągnąć wszystko z melin: telefony, motocykle, działko... „Wichura” dostał od „Bartka” rozkaz przygotowania do wyjazdu nie tylko grupy, którą dowodził, ale także radiostacji. Sprzętu było dużo, więc było pewne, że trzeba go będzie załadować na kilka aut.

Z tego, co pamięta Stanisław Włoch, ps. „Lis”, pierwsza grupa wyruszyła ze Szczyrku. Mieli się w niej znaleźć najodważniejsi ludzie z oddziału „Bartka”. Było to gdzieś pod koniec sierpnia lub w pierwszych dniach września 1946 roku.

Organizator przerzutu załadował amerykańskie ciężarowe studebackery, na podwójnych kołach, przykryte plandekami. Według „Wichury” było to 5 września 1946 roku. Autem przyjechał ppor. „Korzeń”. – Nie spotkałem się z nim, bo słyszałem dziwne strzały w okolicy i bałem się wtedy ludzi przerzucać – wspomina „Wichura”.

Następnego dnia ciężarówki przyjechały ponownie. Na miejsce załadunku wyjeżdżających przyprowadził Tadeusz Przewoźnik, brat „Rysia”. Wymaszerowali z obozowiska pod osłoną nocy. Już bez przeszkód wsiedli na auta. Wśród wyjeżdżających był m.in. Andrzej Bujok, ps. „Jędrek”.

Dokładnej liczby osób, które wyjechały pierwszym transportem, dzisiaj już nie sposób ustalić. Przewoźnik mówi o 80 partyzantach. Inne źródła mówią o 70 osobach. Z kolei „Lis” twierdzi, że odjechało wówczas 30 mężczyzn. Może to oznaczać, że drugie auto wyruszyło z innego miejsca. Nie wszyscy musieli o nim wiedzieć.

Inne relacje wskazują na to, że wojskowa ciężarówka wyjechała z szosy pod Skoczowem. Po dotarciu na drogę Katowice-Wrocław, partyzanci mieli się przesiąść na ciężarówkę należącą do wrocławskiego okręgu NSZ.

Anna Szweda, ps. „Annuszka”, nie widziała samochodu, więc nawet nie wie, jak wyglądał. W pamięci pozostał jej natomiast wygląd

odjeżdżających towarzyszy broni: ludzie z oddziału ubrani byli w krótkie bluzy typu amerykanki w kolorze khaki. Na głowach mieli rogatywki lub berety z orzełkiem, a na rękawach mundurów naszywki NSZ. Nosili też ryngrafy na kieszeniach bluz.

Tadeusz Przewoźnik podaje, że część partyzantów miała angielskie mundury i guziki z orłem w koronie. Pamięta też, że ryngraf jego brata „Rysia” był bardzo okazały. To była – co zachował w pamięci – Matka Boska na tle skrzyżowanych sztandarów z wygrawerowanym napisem NSZ. Brat miał także wygrawerowane nazwisko i pseudonim. „Kuba” zapamiętał także charakterystyczny zegarek, jaki wtedy nosił jego brat „Ryś”. Duży, aluminiowy, z kompasem i białą tarczą.

Józefina Mika była jedną z 4-5 kobiet w grupie „Bartka”. Do oddziału wciągnął ją kuzyn Jan Wojtas. Zachowała w pamięci to, że przewidziano ją do pierwszego wyjazdu, ale ostatecznie nie pojechała. Taką decyzję podjął sam „Bartek”. Pożegnania z towarzyszącymi broni utkwiły jej w pamięci bardzo głęboko. Baranią Górę opuszczał wówczas jej przyjaciel, młody chłopak z Ciśca – Franek. Jego nazwiska już nawet nie może sobie przypomnieć. Nie jest też już pewna, ilu partyzantów odjechało razem z nim. Wie tylko, że przychodzili z różnych miejsc, w których mieli rozbite obozowiska. Wyjeżdżali nocą, ale Franek nie określił dokładnie, z jakiego miejsca. Pożegnali się jeszcze w namiocie.

– Odmaszerowali do miejsca, gdzie czekały na nich ciężarówki. Siadłam wtedy na pniu i zaczęłam płakać za Frankiem – wspomina. – Podszedł „Bartek” i mnie pocieszał. Mówił, że wkrótce też pojedę. Połączymy się i pobierzemy.

Zapewnił ją, że w najbliższych dniach będą kolejne transporty. Następne podstawione ciężarówki przerzucą resztę partyzantów. Gdy dotrą za granicę, będą nadal walczyć o wolną Polskę. Na Baraniej Górze kontynuowanie walki stawało się niemożliwe. UB i KBW coraz częściej organizowały oblawy. Co gorsza, stawały się one coraz bardziej skuteczne. Józefina Mika po wyjeździe pierwszego transportu przeniosła się w okolice Zwardonia.

### **Pierwszy nocleg pierwszego transportu**

Partyzanci wyruszyli w trasę. Jechali w stronę Wrocławia. Na noc mieli się zatrzymać nieopodal Grodkowa. Jakies 5-6 kilometrów za miasteczkiem, w stronę Łambinowic, po lewej stronie, mieściło się po-